

O MOIM (NIE)POJMOWANIU BOGA

WPROWADZENIE

Tekst ten można potraktować jako przerywnik w serii *O pojęciu i pojmowaniu Boga*, nad którą cały czas pracuję. Pomyślałem sobie, że przynajmniej niektórych czytelników może zainteresować droga ewolucji mojego rozumienia Boga, czyli jak na przestrzeni życia zmieniało się moje myślenie o Stwórcy. Z jednej strony mogą znaleźć się takie osoby, które utożsamiają się z moimi przeżyciami, a z drugiej niektórzy mogą być zupełnie zaskoczeni, że można w taki sposób podchodzić do sprawy – niemniej jednak w jednym i drugim przypadku dostrzegam wartość w przedstawieniu tego tematu, a następnie dyskusji nad nim.

Gdy mówiłem w poprzednim tekście o pojęciu i pojmowaniu Boga starałem się wykazać warunki i możliwości opracowywania tego, co kryje się za tym jednosylabowcem pisany przez teistów od wielkiej litery *B*. Teraz jednak skoncentruję się na retrospektywnym i refleksyjnym opisie mojego doświadczenia pojęcia Boga, które jak dotąd ewoluowało dwukrotnie (co daje łącznie trzy etapy myślenia o Bogu). Co może się okazać dla niektórych interesujące lub zaskakujące, mój aktualny sposób pojmowania Boga wyrazić można pojęciem *niepojmowalności*, albo nawet *irracjonalności* – czyli czegoś co jest niepojęte ludzkim rozumem, a nawet z nim sprzeczne. Inaczej mówiąc, historia przedstawiona w tym tekście to historia od pewności do niepewności, od wiedzy do poznania, od poznania do rozumienia, od rozumienia do nierozumienia, od teorii do Tajemnicy, od pychy do pokory i w końcu od racjonalności do irracjonalności.

Jako teista – osoba, która wierzy w działającego Boga-Stwórcę – powinienem wystąpić raczej w obronie racjonalności poglądu teistycznego, czy może bardziej szczegółowo – religii chrześcijańskiej, opcji protestanckiej, denominacji adwentystycznej. Jednak nic z tych rzeczy w tym przynajmniej artykule się nie wydarzy z co najmniej dwóch względów. Po pierwsze są już tacy, którzy to robią i robią to lepiej niż ja – zgodnie więc z zasadą prostotynie należy mnożyć bytów bez potrzeby. Po drugie uważam, że cała racjonalność wiary może być uzasadniona jedynie na gruncie jej irracjonalności, dlatego też lepiej w pierwszej kolejności zająć się tą drugą.

RACJONALNOŚĆ OBNAŻONA

Uważny Czytelnik zapewne już się słusznie obruszył z uwagi na sprzeczność ostatniego zdania. Racjonalność uzasadniona jest na gruncie irracjonalności?! Jednak jeśli ktoś był tak uprzejmy i założył, iż nie bredzę trzy po trzy, lub że akurat nie piszę tego tekstu o drugiej w nocy na wpół śpiąco, jak to niejednokrotnie bywa, to mógł się domyślić, iż użyłem tych dwóch kontradiktorycznych pojęć

z pewnym zawieszeniem znaczenia, redefinicją terminu *racjonalność* wykazując przynajmniej dwa poziomy jego znaczenia.

Słownik Języka Polskiego podpowiada pod hasłem *racjonalny* trzy możliwości rozumienia tego pojęcia, chociaż w naszym kontekście przydatne będą tylko dwie: (1) *oparty na logicznym rozumowaniu*; (2) *kierujący się rozumem, logiką*. W zasadzie obydwie sensy oddają to samo, z tą różnicą, że pierwszy wyraża aspekt przedmiotowy (dotyczyć może np. *racjonalnej decyzji, racjonalnego poglądu* itd.), a drugi podmiotowy (ktoś może być *racjonalnie myślący, ktoś może kierować się racjonalnością* itd.). Co więcej należy podkreślić, iż przynajmniej w potocznym dyskursie racjonalność kojarzona jest zazwyczaj pozytywnie, jako coś dobrego, właściwego i pożądanego. Jeśli działania, decyzje czy poglądy są *racjonalne* to już nie są *zabobonne, ciemne, głupie, pochopne, nieprzemysłane czy nieefektywne*, a ktoś *racjonalnie myślący* lub *postępujący* to człowiek *światły, nowoczesny, skuteczny*, człowiek *na miarę XXI wieku*. Tak przynajmniej przyjęto się myśleć o *racjonalności* i w zasadzie jestem w stanie zgodzić się z tymi intuicjami bez większego oporu. Jeśli jednak rozważamy kwestie światopoglądowe, a ściślej filozoficzne, to na tym gruncie jestem gotów bronić tezy, iż *racjonalność* sama w sobie jest *nieracjonalna*, albo lepiej powiedzieć *pozaracjonalna* (nie podlegająca pod kategorię *racjonalności*).

W tym momencie z pomocą przychodzi mi teoria definicji, która podpowiada, iż podejmując się trudu definiowania należy m.in. zachować zasadę komutacyjności, tzn. że *definiens* (zdanie, które wyraża opis definiowanego terminu) nie może zawierać w sobie *definiendum*, czyli tego słowa, które definiujemy. Tłumacząc czym jest *pies* nie możemy powiedzieć, że *jest to taki pies...* W ten sposób tłumaczylibyśmy *idem per idem*, czyli to samo, przez to samo, co oznacza, że w zasadzie niczego byśmy nie tłumaczyli. Tak więc do definiowania *racjonalności* nie możemy użyć tego słowa.

Jeśli *racjonalność* w jednym z przytoczonych znaczeń to *kierowanie się rozumem* (co wynika od łac. *ratio* – rozum), wypada również określić czym jest w tym przypadku *rozum*. I nie chodzi tu tylko o zdolność rozumowania, chociaż i takie znaczenie racjonalność posiada, mówimy przecież, że człowiek jest bytem racjonalnym w przeciwieństwie do kamienia ponieważ posiada zdolność rozumowania. Jednak niejednokrotnie powiemy, że ktoś postąpił *nieracjonalnie*, ale nie mamy na myśli, iż wyłączył w swoim mózgu funkcję *rozum* – po prostu albo nie podjął wystarczającego trudu przemyślenia danego zagadnienia, albo nie potrafił w poprawny sposób przeprowadzić operacji rozumowych, względnie logicznych. *Rozum* w tym przypadku to rzeczownik zbiorczy, który w nieokreślony bliżej sposób kumuluje w swoim zakresie znaczeniowym wszystkie sposoby postępowania analitycznego, skutkującego uzyskaniem wyniku logicznie poprawnego (logika w tym przypadku rozumiana jest w sposób potoczny, nie zaś jako dyscyplina matematyki czy filozofii).

Jeśli więc np. jadąc samochodem zorientujemy się, iż zapala się kontrolka rezerwy paliwa, a do najbliższej stacji benzynowej mamy ok. 70 km to racjonalnym okaże się zastosowanie ekonomicznego stylu jazdy. Albo odwrotnie – gdy właśnie obejrzelismy półtoragodzinny materiał na jutiubie, w którym

autor starał się przekonać nas, że Ziemia jednak jest płaska, nieracjonalnym będzie uwierzyć mu na słowo bez sprawdzenia podanych przez niego *dowodów* oraz z pominięciem analizy spójności przedstawionych przesłanek.

Jaką jednak miarę *racjonalności* przyjąć gdy idzie o badanie świata jako takiego (świata jako całości), światopoglądu i przekonań filozoficznych? Gdy już zdefiniowaliśmy *racjonalność* – to znaczy ustaliliśmy jaka treść stoi za tym pojęciem – musimy zmierzyć się z zadaniem określenia kryterium racjonalności. To znaczy, powinniśmy stwierdzić czym będziemy się kierować określając co jest, a co nie jest racjonalne. I w tym przypadku – analogicznie do zasady komutacyjności – również nie możemy posłużyć się tym, co dopiero mamy ustalić. Inaczej mówiąc, aby postępować zgodnie z zasadami logiki, nie możemy w sposób racjonalny (w ścisłym znaczeniu tego słowa) określić co jest, a co nie jest racjonalne. Kryterium racjonalności ostatecznie samo w sobie musi być *nieracjonalne*! Można tę prawdę wyrazić również w sposób mniej wyrazisty, ale bardziej precyzyjny – kryterium racjonalności samo w sobie musi być *pozaracjonalne* lub *metaracjonalne*.

Aby określić co jest *racjonalne* nie można użyć już jakiegoś uprzedniego kryterium, które nazwalibyśmy racjonalnym, samo bowiem zostało na czymś ukonstytuowane, sformułowane, a to coś nie mogło samo w sobie być racjonalne skoro jeszcze nie ustaliliśmy owego kryterium. Gdybyśmy jednak upierali się, że racjonalność określona jest w sposób racjonalny musielibyśmy zmierzyć się z błędem *petitio principii*, czyli tzw. błędnego koła (dosł. *domagania się początku*) – gdzieś musi tkwić źródło tego, co określamy *racjonalnym*, jednak samo to nie może być jeszcze określone jako *racjonalne*.

Przejdźmy do przykładu. Czy gdy mój przyjaciel opowiada mi opowieści o smokach i czarodziejach, to mogę uznać jego opowieść za racjonalną, albo jego samego za człowieka racjonalnie myślącego? Tak, jeśli wiem, że opowiada mi fabułę powieści *Hobbit* J. R. R. Tolkiena, ale nie jeśli relacjonuje mi swoją wczorajszą podróż do pracy (chyba, że ma inklinacje poetyckie i posługuje się metaforami lub gdy tę podróż odbywał po zażyciu substancji psychodelicznych). Jednak na gruncie literatury gatunku fantasy opowieści o smokach uznaję za jak najbardziej racjonalną, gdyż przyjmuję wraz z całym światem czytelniczym, że w takich powieściach mogą, a nawet powinny występować postacie baśniowe, magiczne i na co dzień niespotykane. Inaczej mówiąc – określanie danego poglądu czy wnioskowania jako *racjonalnego* czy *nieracjonalnego* z góry zakłada (i nie da się tego obejść) jakiś uprzedni model racjonalności ukonstytuowany *pozaracjonalnie*.

I w takim właśnie ujęciu wiara w Boga jest dla mnie racjonalna, chociaż według potocznego modelu racjonalności można jej (a nawet należy) tego dookreślenia odmówić. Jeśli idzie o moją postawę względem poglądu na wiarę w Boga (doktrynę) to wyróżniam na chwilę obecną w moim życiu trzy wyraźne etapy ewolucji myślenia w tym zakresie: (1) obrona doktryny religijnej wyniesionej z wychowania i katechezy; (2) zgłębianie i systematyzacja własnego poznania doktryny religijnej na skutek pojawienia się pytań i wątpliwości; (3) otwarte zaangażowanie w poszukiwanie Prawdy z pozycji

wyznawanej doktryny. Dopowiem, że na potrzeby niniejszego tekstu pod pojęciem *doktryna* będę rozumiał jedynie kwestię pojęcia *Boga* (tak więc mowa o doktrynie Boga, o jego istocie oraz istnieniu) i przedstawię jak ewoluowało moje pojmowanie Go na wspomnianych trzech etapach.

APOLOGETYKA I NIEŚWIĘTA INKWIZYCJA

Obrona doktryny w przypadku wyznawców szczerze zainteresowanych własną religią ma zazwyczaj dwa oblicza – obronę właściwą, czyli apologetykę a także obronę agresywną, rozumianą jako atak, walkę z herezją, coś na kształt (nie)świętej inkwizycji. Użyłem pojęcia *atak* nie tylko dlatego, że pasuje nam tu powiedzenie *najlepszą obroną jest atak*, albo *jeśli chcesz pokoju, szykuj się do wojny*, ale również dlatego, że wyznania nastawione misyjnie często realizują swoje cele w oparciu o krytykę innych wyznań. Niestety prowadzi to raczej do pustych dyskusji, w których rozmówcy nie prowadzą prawdziwego dialogu, nie wykazują szczerości i gotowości zmiany swoich dotychczasowych przekonań. Zdarzają się też kłótnie, rozgoryczenia czy chwilowe poczucie rozgromienia przeciwnika (co nie ma w zasadzie nic wspólnego z chrześcijaństwem). Kto czyta Ewangelię ten wie, że taka rzecz nie może być nazwana *misją chrześcijańską*, chociaż bardzo często tak się ją właśnie określa. Także i ja byłem przykładem zapalonego nie tylko wyznawcy, ale również *misjonarza* jedynie słusznej doktryny. Potrafiłem nawet odpowiednio argumentować swoje zdanie różnymi fragmentami Biblii czy faktami historycznymi, albo ukazywać w materiałach internetowych *nieracjonalność* doktryn innych denominacji – za co dzisiaj się wstydzę i przepraszam. I nie jest tak dlatego, że nagle zacząłem uznawać racjonalność doktryn innych wyznań, albo że zacząłem wierzyć, że każda religia jest dobra. Co to, to nie. Jednak w obecnym stanie zrozumienia nie nazwałbym tego żadną misją – nikomu te moje wywody nie pomogły, nie zbliżyły do Boga, a czasem mogły komuś nawet sprawić przykrość. Oczywiście, ktoś może powiedzieć, że Prawda nie zawsze jest przyjemna, ale ja na to powiem, że mało kto chce przyjąć Prawdę jeśli jest przedstawiona w sposób nieprzyjemny, a mocno wierzę w to, że to samo twierdzenie może zostać przedstawione na różne sposoby, w tym na przyjemne (lub chociaż społecznie akceptowalne) i nieprzyjemne (a nawet odrzucające).

Gdy idzie o moje pojmowanie Boga w dzieciństwie to zapewne obraz ten był połączeniem dzieciennych wyobrażeń jakiejś bliżej nieokreślonej męskiej postaci zarządzającej światem z pozycji nieba (rozumianego jako fizyczne miejsce w jakiejś odległej galaktyce). Obraz ten oczywiście był uzupełniony o biblijne opisy, ponieważ od dzieciństwa byłem z tym Tekstem w miarę dobry zapoznany. Bóg więc jawił się jako król, władca, sędzia, ale także tata i przyjaciel. W tych ostatnich dwóch określeniach widać wyraźnie rys myśli protestanckiej, a szczególnie ewangelikalnej, która dążyła do *odczarowania* negatywnych i surowych wyobrażeń Stwórcy (co uważam, za bardzo istotny wkład w teologię potoczną).

Powyższa charakterystyka mojego myślenia religijnego dotyczyła wielu zagadnień czy obszarów teologicznych, teraz jednak pytanie – gdyż o tym ten tekst traktuje – w jaki sposób wspomniany typ rozumowania uwidaczniał się w mojej teologii właściwej, zajmującej się pojęciem Boga. Co to znaczy: *Bronić pojęcia Boga?* Albo: *Bronić doktryny Boga?*

Przed wszystkim zajmowałem opozycyjne stanowisko do wszystkich twierdzeń, które bezpośrednio lub pośrednio uderzały w wyznawane przeze mnie atrybuty Boga. Na przykład, jeśli jakieś twierdzenie mogło prowadzić do wniosku o tym, że Bóg nie jest wszechmocny, ja automatycznie sprzeciwiałem się rozmówcy, gdyż należało bronić atrybutu Bożej wszechmocy. Miało to miejsce również wtedy, gdy argument rozmówcy wydawał mi się słuszny, czy nawet racjonalny. Dzisiaj mogę powiedzieć, że wiązało się to chyba z jakąś myślną niemożnością zakwestionowania pewnych twierdzeń wiary. Nie potrafiłem pomyśleć innym sposobem rozumowania niż swoim własnym, albo nawet zbliżyć się do wyobrażenia tego, co mój dyskutant miał na myśli.

To, co sobie chwalebę z tamtych czasów to na pewno zapał i gorliwość. Niestety była to gorliwość nierozumna... Chciałbym z taką samą gorliwością pomagać innym i swoim przykładem naśladować Chrystusa, jak wtedy byłem gotów zwalczać wszystko, co uznawałem za fałsz czy herezję. Tak mi dopomóż Bóg!

PORZĄDKI I RECYKLING POJĘĆ

Jednak wraz z wiekiem i rozwojem poznawczym zacząłem pewne kwestie rozważać w różnych nowych kontekstach, a prowadzone dyskusje skutkowały pojawieniem się nowych pytań lub rozwiązań, które wcześniej były dla mojego rozumu niedostępne. Jeśli na nowe pytania nie mogłem znaleźć satysfakcjonujących odpowiedzi pojawiały się wątpliwości, które były wymierzone w dotychczas wyznawaną doktrynę. Jak to bywa w takim przypadku miałem dwie opcje. Po pierwsze mogłem porzucić wiarę lub zmienić wyznanie. Drugą możliwością było przebadanie na nowo dotychczas wyznawanej doktryny w celu zweryfikowania jej twierdzeń oraz uzasadnień. Przecież nie mogłem z góry założyć, że skoro przesłanki czy wnioskowanie wydaje się błędne, to również i wnioski muszą być fałszywe – jest możliwe logicznie, aby ktoś z fałszywych przesłanek lub poprzez błąd we wnioskowaniu sformułował takie konkluzje, które ostatecznie są prawdziwe (tak jak wiele wynalazków powstało na skutek pomyłki lub zdarzeń nieplanowanych). W obliczu tych dwóch możliwości (na tym etapie mojego rozumowania religijnego) w zasadzie nie rozważałem realnie porzucenia religii czy wyznania, zdecydowałem się jednak wszystko dokładnie przebadać i przemyśleć.

Trudno mi powiedzieć dlaczego wybrałem tę drugą opcję, skoro wielu ludzi wybiera zazwyczaj pierwszy wariant – skoro coś się nie zgadza, to należy to coś porzucić... Już od najmłodszych lat miałem tendencję do porządkowania myśli i przekonań, więc skłonny byłem raczej do badania, niż pochopnego

odrzućcia dotychczasowych przekonań. Ponadto owe wątpliwości nie były globalne – dotyczyły poszczególnych kwestii, które przynajmniej początkowo nie podważały fundamentów całej wiary, dzięki czemu mogłem rozważać każdą po kolei. Następnie warto odnotować, iż duże przywiązanie do przekonań religijnych, jakie wyniosłem z domu rodzinnego, utrudniało zanegowanie całej doktryny. Taka negacja byłaby wymierzona również w dotychczasowy *sposób bycia*, a przecież kwestii zanegowania dotychczasowej perspektywy oraz fundamentu tożsamości nie można przeprowadzić z dnia na dzień, a przynajmniej jest to w mojej opinii wysoce niewskazane. Warto pamiętać przy okazji, iż powyższe refleksje to retrospektywna próba opisanie czy wyjaśnienia pewnych moich stanów intelektualnych, a nie bezpośredni odczyt faktycznych rzeczy, to znaczy, że gdybyście zapytali ówczesnego mnie to na to samo pytanie mógłbym udzielić nieco innych odpowiedzi, niż te, których teraz udzielam, dlatego, że pamięć jest nie tylko ulotna, ale także podatna na zniekształcenia narzucane przez narrację JA, mojej aktualnej świadomości.

Jak zobrazować ten etap myślenia religijnego, a szczególnie myślenia w zakresie doktryny Boga? Weźmy na przykład paradoks kamienia, mianowicie: *Czy Bóg może stworzyć kamień, którego sam nie mógłby podnieść?* Każda odpowiedź na to pytanie dowodzi, że Bóg nie jest wszechmocny, przynajmniej jeśli wszechmoc rozumiemy jako zdolność do zrobienia dosłownie każdej rzeczy. Nie pamiętam nawet co odpowiadałem będąc jeszcze na pierwszym etapie myślenia religijnego – być może po prostu mówiłem, że Bóg może stworzyć taki kamień, bo przecież jest wszechmocny. Bardzo możliwe, że nie dostrzegałem wtedy dość wyraźnie istoty owego paradoksu...

Jednak na drugim etapie zacząłem porządkować moją wiedzę, czy może lepiej powiedzieć systematyzować. Działo się to poprzez rozmyślanie nad danym zagadnieniem, rozmowy z zainteresowanymi tematem przyjaciółmi, a także bardzo oszczędnym poznawaniem literatury specjalistycznej w tym zakresie (tj. filozofii religii i filozofii Boga). Oszczędnym z uwagi na brak czasu, niedostatek fachowej literatury i również trudny, specjalistyczny język, który dla laika jest niemałą przeszkodą w poznawaniu tych zagadnień.

Zatem na pierwszym etapie broniłem przyjętych założeń dotyczących pojęcia Boga, natomiast na drugim starałem się poszerzyć swoją wiedzę w tym zakresie i odpowiednio ją usystematyzować. Oczywiście na pierwszy rzut oka nie widać sprzeczności, przecież jedno drugiego nie wyklucza. W praktyce jednak ten, który broni swojego poglądu raczej nie jest zainteresowany jego zgłębianiem. Obrona zakłada poświęcenie i zaangażowanie, a tylko nierozsądny człowiek poświęca się i angażuje w obronę czegoś, czego wcześniej dobrze nie poznał i nie uznał za wartościowe. Co ciekawe, w moim przypadku – a z obserwacji widzę, że nie jestem w tym sam – obrona poprzedziła etap badania, ponieważ przekonania religijne wypłem z mlekiem matki i przyjąłem je za oczywiste bez pogłębionego rozważania. Dopiero braki i trudności w obronie zmusiły mnie do myślenia, a ostatecznie do przemyślenia wyznawanej doktryny.

Wracając do paradoksu kamienia, jeśli kogoś interesuje moja odpowiedź, którą wypracowałem na drugim etapie, to podpowiem jedynie, że cały problem leży w potoczności języka, który operuje pojęciami nieostrymi i/lub intuicyjnie pojmowanymi. Niestety, intuicje te – jeśli zostaną poddane analizie filozoficznej – okazują się być wewnętrznie sprzeczne, a więc z założenia nie powinny funkcjonować w języku (tak jak *kwadratowe koło*). Paradoks kamienia dowodzi, że intuicyjne rozumienie wszechmocy jest logicznie sprzeczne, a więc należy opracować jej niesprzeczną definicję, zaznaczyć wyraźnie co kryje się za tym słowem, albo w ogóle przestać używać pojęcia *wszechmocy* i zastąpić je bardziej funkcjonalnym wyrażeniem. Dlatego też systematyzacja wiedzy teologicznej szła jednocześnie w parze z recyklingiem pojęciowym, tzn. z uściśleniem definicji pojęć – tego, co skrywa się za danym słowem.

Dzięki tak rozumianej systematyzacji wyeliminowałem niektóre sprzeczności lub doprecyzowałem nieostre pojęcia. W sporej większości kwestii jedynie się utwierdziłem, chociaż wielokrotnie ubocznym skutkiem dociekań było wypracowanie znacznie lepszych ścieżek argumentacyjnych w porównaniu do tych, które dotychczas serwowano mi we wspólnocie wierzących. Oduczyłem się również manipulacji erystycznej, której celem nie była prawda, a wygranie dyskusji. Dostrzegłem, iż struktura uzasadnień dla twierdzeń religijnych uwielbia skróty, uproszczenia, nieuprawnione rozszerzenia czy nierzetelność. Do tej pory jestem na tym punkcie mocno wyczulony, czy może nawet uczulony – bliżej mi do szczerzej i nienaciąganej wersji ateizmu, niż do manipulacyjnej i antyintelektualnej wersji chrześcijaństwa, dlatego, że w pierwszym przypadku szanuje się dar Boży – rozum; w drugim natomiast wykorzystuje się go do łamania cudzego sumienia i umacniania własnej władzy religijnej.

Jeśli idzie o pojęcie *Boga*, to był to przełomowy czas zderzenia się z tzw. *Problemem zła*, który odmienił całe moje dotychczasowe myślenie o Bogu, religii i wierze, a tym samym był jednym z czynników popychających mnie na trzeci etap mojego rozumowania religijnego. Problem zła wynika z zestawienia ze sobą faktu istnienia zła oraz postulowanej przez np. religię chrześcijańską doktrynę Boga o ustalonym zestawie atrybutów. Oto, moim zdaniem, najprostsza wersja owego problemu: *Jeśli jest dobry, wszechmocny i wszechwiedzący Bóg, to dlaczego istnieje zło na świecie?* Pytanie to jest na tyle niezwykle, że do dzisiaj powraca w moich rozmyślaniach jak bumerang, jednak na drugim etapie, który teraz wspominam, udało mi się z nim jakoś uporać. Sposobem w jaki tego dokonałem było odwołanie się do wolnej woli, nad którą w zasadzie dużo się nie zastanawiałem i przyjmowałem jej potoczne rozumienie jako pewnik.

REALNE PYTANIE, CZYLI O MORALNOŚCI MYŚLENIA RACJONALNEGO

W końcu, w pewnym momencie znalazłem się w niezwykłym świecie *realnego pytania*. Trudno powiedzieć jak i kiedy się to stało, że wpadłem do tej króliczej nory, niczym Alicja z Krainy Czarów, nie wiedząc dlaczego oraz po co.

Realnym pytaniem nazywam taką sytuację, w której nie zakłada się istnienia jedynie słusznych czy w ogóle jakkolwiek satysfakcjonujących odpowiedzi. Być może niektórym czytelnikom już pojawiło się na wyświetlaczu wyobraźni pojęcie *sceptycyzmu*... i słusznie. Myślę, że jeśli komuś to pomoże w jakkolwiek sposób – a zazwyczaj kategoryzowanie idei oraz ich przedstawicieli jest jakoś pomocne, choćby dla komfortu psychicznego, aby wiedzieć z kim się ma do czynienia – to mogę określić się mianem sceptyka chrześcijańskiego. Sceptycyzm to pogląd negujący możliwość poznania prawdy o świecie. Nie mogę jednak mówić o sobie jako o twardym sceptyku, albo zaciekłym – po prostu nie sądzę, aby istniała możliwość poznania dobrych i pewnych odpowiedzi na wszystkie pytania; zakładam również, że odpowiedzi na niektóre ważne pytania nie są ostatecznie poznane. Kim jednak jest chrześcijański sceptyk? Uważam, że chrześcijaństwo daje jedną z lepszych odpowiedzi na pytania dotyczące świata, Boga i człowieka. Ponadto moje poszukiwania zawsze zaczynam właśnie z pozycji chrześcijanina.

W jaki sposób realne pytanie odciska się piętnem na mojej doktrynie Boga? Mógłbym dużo o tym pisać, jednak lepiej jest przecież zostawić Czytelnikowi swobodną przestrzeń, w której sam może eksplorować pojęcie Boga, tym bardziej, że nie dam sobie uciąć ręki, iż w momencie, w którym ktoś będzie czytał ten artykuł ja będę miał dokładnie te same przekonania.

Mogę jednak powiedzieć, iż sytuacja realnego pytania postawiła mnie przed niesamowicie trudnym dylematem moralnym, mianowicie: *Czym powinien kierować się chrześcijanin w rozstrzygnięciu prawdziwości przekonań religijnych?* Czy powinna to być racjonalność? Jeśli tak, to jaka – jaki model racjonalności? O którą pozaracjonalną intuicję oprzeć definicję racjonalności? Jeśli nie, to czym się kierować? Ślepym losem? Bezkrytycznie przyjętą opinią innych? Jeśli tak, to których *innych*? Naszych. Ale których naszych – tych z lewej, czy tych z prawej strony? Tych, których lubimy, czy tych, za którymi nie przepadamy?

Niestety te pytania leżą faktycznie u podłoża sytuacji realnego pytania i stawiają osobę wierzącą w bardzo trudnej sytuacji, ponieważ wraz z uświadomieniem sobie ograniczoności pojęcia *racjonalności* należy coś zrobić... Ale co?

Weźmy wspomniany wcześniej przykład Problemu zła, który przyczynił się do odmiany mojego sposobu myślenia religijnego. O ile na pierwszym etapie powiedziałbym po prostu, że Bóg jest dobry, wszechmocny i wszechwiedzący, a wyłączną odpowiedzialność za zło ponosi szatan (upadły anioł), później ludzie; a na drugim etapie powiedziałbym, że nie wszystko jest takie oczywiste i podałem kilka

możliwych rozwiązań, to na trzecim etapie dopuszczam do siebie myśl, że może nie istnieć dobre rozwiązanie Problemu zła – i teraz warto wprowadzić rozróżnienie na silne i słabe twierdzenie. (1) Nie istnieje dobre rozwiązanie Problemu zła; (2) Nie jesteśmy w stanie poznać dobrego rozwiązania Problemu zła. Aktualnie bliżej mi do twierdzenia (2), jednak na tym właśnie polega sytuacja pytania realnego, że nie mogę z automatu wykluczyć twierdzenia (1).

Gdybym tylko potrafił myśleć tak, jak to czyniłem od dzieciństwa do późnego wieku nastoletniego, to chętnie bym po prostu wyśmiał kogoś, kto ma problem z faktem zła... najwidoczniej nie przeczytał trzeciego rozdziału Biblii, w którym wszystko jest wyjaśnione... Gdybym tylko umiał dopracować moje odpowiedzi i przedstawić odpowiednio usystematyzowaną argumentację za jedną z nich, chętnie bym to zrobił i na tym poprzestał, tak jak to robiłem na drugim etapie... Teraz jednak – gdy poznałem wiele różnych ograniczeń intelektualnych – jestem w pewnym potrzasku. Jest tak dlatego, iż poczucie moralności racjonalnego myślenia nie pozwala mi udzielić jednoznacznej, prostej i dobrej odpowiedzi ponieważ wiem o słabości każdej z możliwych (dotychczas poznanych) opcji. Przez poczucie moralności racjonalnego myślenia rozumiem wewnętrzną wrażliwość na intelektualną prawdę, a tym samym sprzeciw wobec jawnego fałszu, a także daleko posuniętą ostrożność przed tym, co nie daje się jednoznacznie określić jako prawdziwe.

Niestety twierdzenie (1) może (choć nie musi) prowadzić do zanegowania poszczególnych twierdzeń o Bogu chrześcijańskim lub w ogóle wiary chrześcijańskiej i dlatego uważam, że zarówno teologowie, filozofowie, duszpasterze i katecheci chrześcijańscy muszą pochylić się nad Problemem zła, ponieważ jest to kwestia, która wcześniej czy później nurtuje każdego, racjonalnie myślącego chrześcijanina. Jeśli jednak nie istnieje dobra odpowiedź na Problem zła (o ile tak jest), to dla wielu ludzi jest to jednoznaczne z logicznym dowodem przeciwko istnieniu dobrego, wszechmocnego i wszechwiedzącego jednocześnie Boga. Wolałbym jednak wierzyć, że istnieje jakaś dobra odpowiedź nawet jeśli nie jesteśmy w stanie jej poznać (2).

Nota bene, Problemowi zła poświęciłem osobną publikację (nad którą jeszcze pracuję), o roboczym tytule: *Zło i dobry Bóg. Wiara i wątpliwość*. Zamierzam zakończyć ją wskazaniem trzech argumentów, które utrzymują mnie przy wierze chrześcijańskiej pomimo braku (znajomości) dobrej odpowiedzi na Problem zła. Oto owe trzy argumenty przedstawione w syntetycznej formie:

- a) Argument intelektualny – świat, według tego, jak go rozumiem, poniekąd domaga się istnienia swojej przyczyny pierwszej, którą można nazwać Bogiem;
- b) Argument subiektywno-empiryczny – doświadczam rzeczy, które potocznie nazywa się doświadczeniem religijnym i nie potrafię ich zrozumieć bez odwołania się do jakiegoś Bytu, który nadawałby sens całemu światu, a który można nazwać Bogiem;

- c) Argument pragmatyczny – chcę, aby nadzieja chrześcijańska była prawdziwa, dlatego, iż z taką nadzieją łatwiej pokonuję doświadczenie egzystencjalne, lęk, poczucie przemijania i kruchość życia.

I teraz pytanie do Czytelnika – czy powyższe argumenty są racjonalne, czy pozaracjonalne, albo – jak to mówimy na co dzień – irracjonalne? W moim przekonaniu trzeba powiedzieć *to drugie*, tzn. przesłanki te mają rację bytu, ale nie w ramach tego, co potocznie nazywamy *racjonalnością*.

Odwołanie się do Pierwszej przyczyny świata nie jest logicznie konieczne z punktu widzenia rozumowania poprawnie logicznego – potwierdzi to każdy logik o poglądzie ateistycznym. W moim prywatnym odczuciu jest bardziej prawdopodobne, że świat posiada jakąś zewnętrzną od siebie pierwszą przyczynę istnienia (która sama nie posiada zewnętrznej od siebie przyczyny swojego istnienia), ale uznanie wyższości tego prawdopodobieństwa nie wynika z obiektywnej wiedzy, co do której wszyscy zainteresowani i kompetentni uczestnicy dyskusji mogliby się zgodzić, tylko z przedzałożeń filozoficznych (presądów). Przedzałożenia to takie twierdzenia i sposoby rozumienia, które rzutują na rozstrzygnięcia bardziej szczegółowych problemów, zazwyczaj są obierane intuicyjnie, a czerpiemy je z otoczenia, wychowania, wykształcenia i tego, co akurat nam odpowiada. Presądy są nieobiektywne i niedowodliwe. Nie sposób kogoś racjonalnie przekonać do obrania takich czy innych przedzałożeń. Można je sobie co najwyżej uświadomić, zdecydować pozostanie lub porzucenie dotychczasowych presądów, ale decyzja ta nie jest wymuszona rozumem, a wolą, wola natomiast kieruje się jakoś pojętym rozumem, jednak nie ma mowy tu o obiektywnym rozumie, który byłby wspólny dla całej ludzkości... Rozum w tym przypadku jest rozumem jednostkowym i bardziej niż do prawdy, dąży do polepszenia swojego jednostkowego bytu. Tak więc mogę zmienić swoje presądy, ale nie tyle w oparciu o obiektywną wiedzę, lecz w trosce o własny interes, tak więc w oparciu o to, co mi aktualnie odpowiada.

Idźmy dalej – argument subiektywno-empiryczny, czyli z doświadczenia prywatnego. Osobiste, jednostkowe doświadczenie, chociaż ma dużą moc przekonującą dla podmiotu przeżywającego nie jest niczym wiążącym w tym trybie, który zwykliśmy nazywać *racjonalnością*. To, że akurat ktoś lubi suszone banany, albo że miał trzy wypadki samochodowe i za każdym razem wydarzyły się po tym, jak tej osobie przebiegł przez drogę czarny kot, wcale nie znaczy, że wszyscy lubią suszone banany, albo że czarny kot przynosi pecha. Tak się po prostu komuś przydarzyło i ten ktoś może się w swoim życiu kierować własnym, subiektywnym doświadczeniem, trudno jednak aby postulował na tej podstawie obiektywną prawdziwość treści swojego przeżycia.

I w końcu argument pragmatyczny – ktoś może wykazać, że z religią chrześcijańską oprócz nadziei wiążą się pewne utrudnienia lub wyrzeczenia w życiu codziennym, które w ostatecznym rozrachunku mogą dawać bilans ujemny. Albo jakiś inny światopogląd może również dostarczać nadziei, przy jednoczesnej minimalizacji kosztów. Tak – to są właśnie kontrargumenty, które nie tyle

obalają prawdziwość moich argumentów, co wykazują, że nie mogę wymagać, aby uznać je za racjonalne – czyli powszechnie obowiązujące, a więc takie, co do których wszyscy racjonalnie myślący ludzie powinni się zgodzić. Drugim kontrargumentem jest to, że z tego tylko powodu, iż chcę, aby coś było prawdzie, nie znaczy, że to coś faktycznie takim jest – nie ma to więc nic wspólnego z racjonalnością. Moja mocna wiara w istnienie smoków nie powoduje tego, że smoki faktycznie istnieją, tak więc moja nawet najmocniejsza wiara w Jezusa z Nazaretu jako objawionego Boga wcale jeszcze nie czyni Go obiektywnie rzeczonym Bogiem – Stwórcą i Zbawcą świata.

Warto odnotować, że te trzy argumenty (intelektualny, subiektywno-empiryczny, pragmatyczny) tworzą jakby argument kumulatywny. Oznacza to, iż każdy wyżej wymieniony argument można w dość prosty sposób obalić, co też wykazałem. Jednak gdy te trzy argumenty występują razem uzyskują większą moc, niż tylko sumę jednostkowych porcji sił przekonywania. Nie znaczy to, że argument kumulatywny zyskuje wyższą racjonalność, albo że powinniśmy się spodziewać jego wyższej skuteczności w przekonywaniu niewierzących i wątpiących. Natomiast uznaję, że ten trojaki argument kumulatywny za istnieniem Boga chrześcijańskiego (pomimo nierozwiązanego Problemu zła) jest wystarczający do uzasadnienia mojej wiary. Z intelektualnego punktu widzenia mam czyste sumienie, ponieważ nie postępuję wbrew racjonalności, chociaż w języku potocznym można byłoby nazwać moje postępowanie analityczne mianem irracjonalnego.

LUKSUS PEWNOŚCI I GRZECH PYCHY INTELEKTUALNEJ

I tak dotarliśmy do zapowiadanej na początku irracjonalności wiary w Boga. Na moim aktualnym etapie myślenia religijnego (realne pytanie), szczególnie w zakresie doktryny Boga, jestem osobą poszukującą i otwartą na lepsze poznanie Boga, w tym na dokonanie korekt w intelektualnym aspekcie wiary. Realne pytanie wyraża prawdziwą niewiedzę i prawdziwie poszukuje odpowiedzi, niezależnie od kosztów i następstw.

Ta otwartość i poszukiwanie w moim przypadku nie dzieją się w próżni – jestem chrześcijaninem i wszelkie badania zaczynam właśnie z tej pozycji. Nie mogę wykluczyć – chcąc postępować zgodnie z moralnością racjonalności – że kiedyś zmienię zdanie, chociaż aktualnie nic tego nie zwiastuje. Tylko dzięki takiej postawie ludzie porzucają fałszywe poglądy i poznają Prawdę, tak więc gotowość na zmiany jest narzędziem Boga do poprawiania naszego zrozumienia. Pytanie jednak, czy w którymś momencie mamy wyłączyć tryb poznawania? Czy mamy przestać szukać? Jeśli tak, to kiedy? Kiedy spocząć na laurach? W którym momencie pozwolić sobie na luksus pewności i grzech pychy intelektualnej?

Sensoholik,
czyli Konrad Pasikowski